Nr. 1. Lwów, 15. Lutego 1894. Rok IV.

Wychodzi raz na tydzień.

Prenumerata wynosi we Lwowie:
Rocznie . . 6 zł. — ct.
Półrocznie . 3 » — »
Kwartalnie . 1 » 60 »
Miesięcznie — » 60 »
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 20 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się.
Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

TYGODNIK
LITERACKI, ARTYSTYCZNY i NAUKOWY.

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi:
Rocznie . . . 6 zł. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 » 65 »
W Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3·50.
We Francyi:
Rocznie 16 fr. — kwartalnie 4 fr.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya »Myśli« po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następny.

Redakcya i Administracya znajdują się we Lwowie w Rynku l. 37, gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: Płohna i Olszewskiego.

Od Redakcyi.

MYŚL, organ poświęcony literaturze, nauce i sztuce, rozpoczynając czwarty rok istnienia, wchodzi na nowe tory, skutkiem reorganizacyi, która przeprowadzoną została w celu nadania jak największej żywotności pismu.

„Myśl“ pojawiać się będzie jako tygodnik, dzięki czemu silniejszy, niż dotąd, nacisk położyć będzie w niej można na aktualność spraw poruszanych.

Pismo nasze chcielibyśmy uczynić przedewszystkiem zwierciadłem, wiernie reprodukującem wszelkie drgnienia życia umysłowego. Zgromadziwszy dokoła Redakcyi najwybitniejsze siły literackie i artystyczne, zapewniwszy nadto pismu egzystencyę materyalną, mamy niepłonną nadzieję, iż zadaniu potrafimy sprostać.

Notować skrzętnie objawy życia umysłowego, podnosić dodatnie, a walczyć przeciw miernocie i obłudzie na polu nauki, literatury i sztuki, przeciw wszelkim zboczeniom od szlaków estetyką i etyką wskazanych — oto jeden z głównych celów naszego pisma. Zwracamy przytem uwagę na dział „Wolnych myśli“, specyalnie temu zadaniu poświęcony, który stale utrzymywać będziemy, a w którym bezwzględnej krytyce poddamy wszystko, co na nią zasłuży.

Idzie jednak nam nietylko o to, by obfitym działem sprawozdawczym utrzymywać łączność rozproszonych u nas ognisk umysłowości „Myśl“ radzibyśmy uczynić godną swej nazwy — chcemy być pionierami myśli, zwłaszcza myśli narodowej, chcemy stać na jej straży i wierni wielkim hasłom, stawić zapory zmateryalizowanemu społeczeństwu, — chcemy, o ile stać nas na to, sprowadzić literaturę znowu na szlaki uduchowienia, od których ostatniemi czasy zbaczać poczęła

Wiemy, że trudnego podjęliśmy się zadania, ale i to wiemy, że społeczeństwo nasze nigdy nie odmawiało poparcia usiłowaniom, skierowanym ku jego dobru

Spieszymy więc do celu, zbrojni nietylko wytrwałością, nietylko pomocą przyjacielską, lecz także wiarą w życzliwość tych warstw szerokich, których pamięci „Myśl“ polecamy.

Zapewniliśmy sobie współpracownictwo najwybitniejszych pisarzy w każdym dziale naszego pisma.

Nie pójdziemy za przykładem tych, którzy wiele zapowiadają, a mało dotrzymują. Przeciwnie, chcielibyśmy zapoczątkować odmienną metodę, wbrew oklepankom prospektowym, szumnym w formie, a płytkim w treści.

W tece redakcyjnej posiadamy już bogaty zapas prac, oraz zapewniliśmy sobie we Lwowie współudział literacki pp. Woj. hr. Dzieduszyckiego, Dr. Br. Łozińskiego, Wł. Bełzy, M. Rodocia, Aurelego Urbańskiego, prof. Finkla, Abgara-Sołtana, Dr. Kubali, prof. Dunikowskiego,

Jana Styki, J. Starkla, Jana Zdory, R. Polińskiego, Dr. Biegeleisena, T. Zadurowicza, T. Czapelskiego, Jana Kaz. Zielińskiego, K. J. Nittmana, Izyd. Kuncewicza, T. Rybkowskiego, Dr. J. Błeszyńskiego, St. Niewiadomskiego, J. Nikorowicza i w. i.

Możemy liczyć na stałe współpracownictwo: Ely...ego, M. Konopnickiej, W. Marréne, K. Bartoszewicza, Dr. Piotra Chmielowskiego, Miriama, Klemensa Junoszy, M. Gawalewicza, Kosiakiewicza, K Tetmajera, Dr. Monata, Z. Parwiego i w. i.



MARYA KONOPNICKA.

Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu.

Florenckie mieszkanie Lenartowicza skromne było i niemal ubogie: mówiło wszakże raczej o prostocie gustów poety, niżeli o braku.

Stanowiły to mieszkanie dwa pokoje, odsadzone od siebie na całą szerokość domu, tak, że jeden miał okna od ulicy, drugi od podwórza; pokoje te połączone były korytarzem niezbyt jasnym, który przechodząc słyszałeś świergot szczyglika. Pierwszy był sypialnią, pracownią i salonem; drugi rzeźbiarskim warsztatem.

Trzy rzeczy uderzyły mnie od progu: Czarny krzyż i sodalisowski wizerunek z Częstochowy nad żelaznem łóżkiem, wielki pęk anemonów na stół rzucony i szczerozłoty promień słońca od okna po podłodze bijący.

Ulica Montebello, przy której poeta odwielu lat mieszkał, leży w stronie miasta wschodniej, na lewym brzegu Arna, niedaleko ogrodów Prato, i w połowie przestrzeni pomiędzy ponte Jospeso a ponte Carraia tworzy z ulicą Borgo Ogni Santi kąt ostry, którego wierzchołek opiera się o cichy plac Daniela Manina.

Ulica ta ani piękna, ani ożywiona, ani bogata, nawet powiem mało włoska, ma coś jakby żołnierskiego w sobie.

Domy proste, surowe, w dwa jednostajne szeregi zrównane zdają się iść, iść...

Naraz — szczerba. Mur to jakiś poklasztorny, z sygnaturką chwiejącą się jeszcze u bramy, w głębi ocieniona zielonością dzwonniczka, czy też oratorium stare, a z poza muru akacja sypie kwiat biały, wonny. Na co ja patrząc zdaleka, zaraz pomyślałam sobie, że wprost tej szczerby właśnie okna poety być muszą. Jakoż były. Z niej też rzucała się i owa struga światła tak żywa, jakby kto więź kłosów pszenicznych, złotem po izbie słał.

Jak tam co było, gdzie i którym kształtem stało, nie objęłam tego pamięcią, może nawet nie objęłam wzrokiem. Ale ogólne wrażenie zdawało się mówić, że upływa tu wpółzakonne życie.

Przedewszystkiem brak wszelkiego literackiego kramu. Wązkie biurko z twardym stołkiem nie świeciło żadnym z tych wyszukanych przyborów, w jakie się u nas lada pismaczek funduje. Papierów na niem tak jakby nic, mały kałamarz, parę listów, wytarta teka — i tyle. Owego rozpościerania się, owej wystawy, owych to elegancyj szyldowych literackiego zawodu, owych wmawiań w ludzkie oko i w siebie, że się jest po uszy pogrążonym w poezyi poetą,— ani na lekarstwo. Wielka prostota niecodziennej duszy we wszystkiem. A potem w atmosferze całej izby czuć było jakby pogotowie długoletniego wędrowca; jakiś kufer jeden i drugi, jakaś paka z książkami, jakaś torba podróżna jakiś płaszcz, na poręcz rzucony. Coś jakby ztąd człowiek zaraz chciał wstać i iść, nie zahaczony o nic, nie zatrzymywany niczem.

Wydał mi się Lenartowicz młodszym nad wiek swój istotny. Patrząc na jego jasne i wymowne oko, na żywość jego ruchów, na twarz nerwową, smagławą, na piękny wąs męski, nikłby mu nie dał i lat sześćdziesięciu. Także i głos pełen silnie wibrujących tonów, o niezwykle bogatej skali, młodszym był od wieku poety.

Nie umiem i nie kuszę się opisać tego serdecznego czaru, tego ciepła, które zdawały się promieniować z całej postaci jego. Nie czas też i nie pora mówić, o czem się potoczyła »ta nagła rozmowa, w której dzieje lat wielu chciano zamknąć w słowa.«

Tyle tylko powiem, że takiej żywości uczuć, takiego ognia w sądach, takich szczerych uniesień i oburzeń gorących, nie spotkałam ani przedtem, ani potem u ludzi, których lata i przestrzeń oddzieliły od ogniska bezpośrednich wrażeń. Tu znać było, że z ogniska tego uniesiona iskra, płomieniem pali się w piersi i że z życiem dopiero zagaśnie. Trąciliśmy w tych rozmowach strun wiele, i wydały wiele harmonii, a i wiele zgrzytu. Lenartowicz pochylony przez stół, z podpartą na obu rękach głową, rozgorączkowany, z pociemniałym wzrokiem, słuchał i mówił z tą chciwością duszną, z jakąby głodny chleb jadł, albo pił pragnący: a w tem słuchaniu, w tem pochyleniu się samem, była taka wymowa, taka żarliwość czucia, jakiej też nie widziałam ni przedtem, ni potem.

Charakterystycznym rysem rozmowy poety to mi się wydało, iż zatoczywszy zrazu szeroki widnokrąg, nagle uderzał słowem w punkt jakiś drobny, w szczegół, zbierał w nim promienie duszy, jak w soczewce, i z tego ziarna piasku czynił djament, roztęczony wszystkiemi barwami.

Dawało to mowie jego i widzeniu rzeczy ogromną dotkliwość i bardzo żywy koloryt, świadcząc zarazem, iż umysł ten w sferze abstrakcyi, uogólnień, czuł się nieswojsko, i długo w niej przebywać nie nawykł. Owe słoneczne kłosy dawno już przygasły, a woń akacyi płynęła szeroko przez otwarte okna, kiedy Lenartowicz po tekę sięgnął, i dał mi poznać »Nieszczęsnych« swoich.

Dramat ten jeszcze w 86 roku był gotów: — »Napisałem rzecz p. t. »Nieszczęsni« — donosi mi Lenartowicz w lutym owego roku — którą wydrukuję, i — addio! Są tam gorzkości.... Ano trudno. Nie zawsze można być miodowym. Rzecz ta stanie się głośniejszą, a wielu powie, że to nie ja pisałem. Niech idzie. Od sfer »Błogosławionej« odbiegłem w cienie!«

W marcu tegoż roku pisze: — »Proszę o nowy adres« a przeszlę może coś z moich »Nieszczęsnych» — ponure to malowidełko!« —

W maju zaś dodaje: — » Moi »Nieszczęśni« jest to coś bardzo drastycznego, na co edytora pewniebym nie znalazł; a ponieważ własna kieszeń wiecznie pusta, pozostanie to zatem, jak i »Sokrates« ad feliciora tempora w tece autora. I możelepiej, bo zakończę żywot pod szarą sukmaną lirnika, a nie w płaszczu z iskier i płomieni, w które mnie moja dziwaczna proteowa natura przestrajała.«

Poeta namyślał się, czekał, wahał, i tak zeszło do 92 roku.

— »Moje poczciwe kacapy jadą, — pisał do mnie o »Nieszczęsnych« w tym czasie — Obliczyłem właśnie ileby to kosztowało. Dużo! Ej, może i nie pojadą!«

— A było to przed samą lwowską zamierzoną podróżą, której nie doczekał. I tak,nie miał pociechy oglądania w książce dzieła, które mu ulubionem było, i w którem miał nadzieję dużego rozgłosu.

— »Co wy o mnie wiecie? pisał mi kiedyś. — Lirenka, i Lirenka!

Ale najżwawsze moje ptaki nie wyleciały jeszcze w słońce — i może nie wylecą nigdy.»

»Czy się w tem określeniu poeta nie mylił«, Sąd zawczesny. To pewna, że z swojej natury lirnika w dramacie wyzuć się nie zdołał, i że najpiękniejsze fragmenty «Nieszczęsnych« są właśnie fragmentami lirycznemi. Więc, kiedyśmy się tak, kartka po kartce, w czytanie owo wgłębili, przyszła kolej i na drobne, ostatniemi czasy pisane, a pełne jakiegoś bolesnego czucia rzeczy, o których tu nie zamierzam mówić. Wymienię tylko Odę, przeznaczoną do międzynarodowej księgi, którą de Gubernatis ku czci Kolumba złożył. Miał Lenartowicz wielki dar czytania. Jego giętki, podatny ulotnym odcieniom głos, wyrazista mimika ruchliwej twarzy, gest mówiący, wstrzemięźliwy, skromny, składały się na przedziwne zobrazowanie poezyj owych przed duszą słuchacza. Czytał zcicha, mało co pomagając sobie ruchem pięknej ręki, a nie było, rzec można, wyrazu, któryby wyrazu nie miał.

Przy czytaniu owem zauważyłam jednak znaczne zdenerwowanie poety. Głos chwilami się łamał, drżał i łkaniem nabrzmiewał, a ręce tak się trzęsły, że papier w nich szeleścił, jak na wietrze, co w tej wielkiej ciszy przedzachodniej, która nas otaczała, dziwnie dotkliwem było. Chcąc tedy przerwać to oczarowanie, które wyczerpywało poetę, zwróciłam uwagę jego na stojący w pobliżu posążek ks. Adama Czartoryskiego, i to nas przerzuciło w świat inny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

STANISŁAW ROSSOWSKI.

W UPADKU.

W głębie upadku niemocą rzucony,
Biadał człowieczy duch. .
Był bez ochrony
I bez otuchy, jak bezsterna nawa...
Z ran mu posoka sączyła się krwawa,
Na usta pianę wydobyły zgrzyty —
Leżał bez ruchu, winą swą przybity.

Lecz w skardze ducha, ponad bagna męty
Nie lęk o pomstę z piersi biegł ściśniętej;
Nie rozpacz czarna, jeno wstyd, — ten szary
Pokutnik, mściciel, wykonawca kary.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

LEDWO CO.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA.

TOM I.

I.

Cicho było na drodze. Słychać było tylko od czasu do czasu z daleka chłopa idącego za pługiem i nawołującego woły głosem przeciągłym, a mogło się wydać, że to nawoływanie nie przerywało jesiennego milczenia natury, bo było jakieś jednostajne, tęskne, głuche, ze wszystkiem podobne do jesieni zalegającej kraj cały. Ziemia czarna poorana, spoglądała na niebo szare, ołowiane, niskie, pokryte brudnym płaszczem niewyraźnych obłoków. Choć słońce nie zaszło, było takie światło jak gdyby się już miało zmierzchać; ale to światło trwało od rana i miało trwać do wieczora. Oko widziało wszędzie dokoła step tylko płaski i na nim wielkie, mnogie sterty zboża, a zaledwo jakby u widnokręgu spoczywało na jakichś czarnych plamach i smugach, wyobrażających lasy i wsie. Ale żywa istota, poruszająca się po tym stepie, nie szła nigdy po równinie, bo ziemia tworzyła wszędzie, niby jakieś ogromne bałwany, czarnego, skrzepłego morza.

Jeździec samotny posuwał się po czarnej równinie, gdzieniegdzie znaczonej przygłuszoną runią łanów zasianych oziminą. Był to mężczyzna bardzo młody, ubrany w sukmankę i baranią czapkę. Biały jak mleko koń arabski stąpał pod nim wspaniale, nadymając nozdrza tak jakby wąchał powietrze i ziemię. Mimo stroju znać było po jeźdźcu, że nie był ani chłopem, ani dworskim sługą, że był sam panem; znać to było po ruchach i po twarzy bardzo przystojnej, mającej w sobie coś orlego czy sokolego raczej, a jednak nad wyraz ludzkiego, tęsknego i łagodnego. Oczy błękitne patrzyły ciągle w dal, ale tak jak oczy człowieka, który nie widzi tego na co patrzy i który przebywa myślą gdzieś daleko od ziemi i od rzeczywistości. Nos był orli, a nad foremnemi, nadwyraz wyrazistemi ustami, rozpościerał się płowy, bardzo piękny wąs.

Jeźdźcowi na imię było Jan, na nazwisko Wielohorski, pieczętował się Korabiem i używał austryackiego tytułu hrabiego. Miał lat dwadzieścia cztery właśnie ukończonych, był synem młodszym pana Sylwana Wielohorskiego, zmarłego przed kilkoma laty i pani Idalii z Oszmiańskich Wielohorskiej, która go właściwie wychowywała i która go aż dotąd strzegła jak oka w głowie, jeżdżąc w ślad za nim do różnych krajowych i zagranicznych uniwersytetów, w których dość późno ukończył swoje studya. Zapisywał się zgodnie z wolą rodziny na prawo, ale w samej rzeczy uczęszczał na filozofię, która go pociągała bez porównania więcej od suchych paragrafów. Matka strzegła go jednak tylko z daleka, nie broniąc mu wolności, a on stronił wszędzie od wielkiego świata i rad przebywał z ubogą młodzieżą, u której znajdywał daleko więcej zapału i chęci do nauk, jak u bogatych towarzyszy.

Mimo względnej wolności, której używał, a szacunku i przywiązania okazywanych niezmiennie matce, niecierpliwił go cichy nadzór kobiety starszej, której

A z wstydem, bratnie zawarła przymierze
Pamięć, jątrząca ciągle rany świeże,
Jakby potworny ząb Prometeusza...

Ostatek siły, co sercem porusza,
One wyżarły i głucho, bezwiednie,
Jako ta gwiazda, która naraz blednie,
Jako liść, wiatru oderwany ręką.
Duch runął...

Nagle uczuł, jak ktoś mięką
Dłoń mu podaje, jak z grzęskiej topieli
Wpół już martwego dobywa — i ścieli
Posłanie z kwiatów, a potem skrwawioną
Duszę układa na niem, wlewa w łono
Nowy sił zapas i rany umywa...

I głos usłyszał z dali: »Jam prawdziwa
Miłość. — Ja spajam znów, co wina zrywa.
Widziałam ból twój, wstydu twego bladość:
Dziełu pokuty, stało się już zadość.
Na mojem łonie wypłacz żal dziecięcy
I wstań — i w życie idź — i nie grzesz więcej!«

A. CZECHOWSKI.

POCZĄTKI POLSKIEGO MESYANIZMU

Sądząc z bardzo licznych śladów w literaturze, była szczególnie silną u naszych przodków wiara w nadzwyczajną opiekę niebios nad polskim narodem. Są one wprawdzie z natury rzeczy prawie wszystkie nawiasowe tylko i niewyraźne, ale wystarczają zupełnie, aby dać nam wyobrażenie o panującem w społeczeństwie przekonaniu. Występuje ono najjaśniej u Miaskowskiego, i przytaczam go tutaj na pierwszem miejscu, bo jest on nietylko jednym z najpierwszych naszych pisarzy, u których myśl ta występuje wyraźnie, ale że zamknął ją zarazem w krótkiej i jasnej formułce, która uniemożliwia wszelkie nieporozumienie i mogłaby służyć za motto, położone na czele całej historyi polskiej. Post nebula Phoebus.

»Bóg Orła stróżem białego! Bóg broni
Na żartkim koniu, przytomnej pogoni!«

Oto słowa tak jasne, że nie potrzebują żadnego komentarza. Możnaby tylko zarzucić, że to frazes, przy którym poeta może nic sobie nie myślał, umieszczony tylko dla zapełnienia miejsca i okrągłości strofki. Chociażby jednak tak było rzeczywiście, nie traci powyższy ustęp wcale swego znaczenia jako wygodna i krótka formułka, streszczająca myśl wyrażoną w innych zabytkach starszej naszej literatury wiele obszerniej, a mimo to nie wyraźniej. Występuje ona już o pół wieku przedtem w pismach Mikołaja Reja. Mówi on pomiędzy innemi: »Żaden naród, żadna horda, a snadź i cygańska nie jest w takiej niedbałości, a snadź jest w lepszem opatrzeniu, niźli tak sławne, a zacne państwo nasze.«... »Aczby nie Pan Bóg strzegł z miłosierdzia swego, a co wiedzieć naczby nam już dawno wyszły te opatrzne niedbałości nasze.» (Zwierciadło §. 8.).

Rubaszne te i ironiczne prawie słowa potwierdza zupełnie o wiele później Łukasz Górnicki w »Dziejach Korony Polskiej«, kładąc w usta Piotra Boratyńskiego w przemowie do Zygmunta Augusta prośbę, aby zrzekł

---

nie rozumiał i o której myślał, że jego nie rozumie. Myślał, że rozumiała dosłownie chrześcijaństwo i że jemu wierzyła ślepo, że była przywiązana do form cywilizacyjnych, wytworzonych przez społeczeństwo arystokratyczne i monarchiczne i że im przypisywała śmiesznie wielkie znaczenie. On miał inne wyobrażenie o Bogu i świecie i nie śmiał z niemi wyraźnie występywać przed panią Matką, nie śmiał jej robić tej przykrości, aby nie chodził do kościoła i nawet do spowiedzi, i uważał siebie za rodzaj niewolnika bezrozumnej macierzyńskiej miłości, za obłudnika z przymusu. Był tedy w tej chwili uradowanym, bo z dniem pełnoletności, stanął na własnych nogach.

Stryj jego zmarły od lat dwudziestu, także imieniem Jan, zapisał był bardzo znaczny choć zadłużony majątek na Podolu, synowcowi swojemu i imiennikowi, pod tymi warunkami, aby dochody służyły aż do jego pełnoletności na spłatę długów, aby się po roku zrzekł na korzyść starszego brata Augusta swojego udziału w dziedzictwie po ojcu, i aby osiadł zaraz po osiągnięciu pełnoletności w Czarnej i tam gospodarował. Stało się zadość wszystkim tym warunkom i młody Wielohorski był teraz nie tylko własnym panem, ale także panem ogromnych włości, objętych w posiadanie po dzierżawcy, którego tenuta właśnie wychodziła.

Tego dnia rano, nazajutrz po swoich dwudziestych czwartych urodzinach, zajechał był do Czarnej, chłopskim wozem najętym na najbliższej stacyi kolejowej. Taki przyjazd bawił go niezmiernie i patrzał ciekawie na swój majątek nowo nabyty, do którego dotarł po ośmiogodzinnej jeździe. Zastał wieś pobudowaną w jarze, zasobną, pełną sadów i zamieszkałą przez lud przystojny i ubierający się malowniczo, który się ani nie domyślał dziedzica w młodzieńcu, jadącym na chłopskim wózku w szarej burce. U końca wsi wznosił się dwór murowany, piętrowy, stojący pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Jaś Wielohorski kazał zajechać przed ganek, oparty na kilku murowanych słupach i obejrzawszy się po dziedzińcu, nie mógł sobie jasno zdać sprawy z tego, czy ten dziedziniec był istotnie smutnym z zaniedbania, czy się wydawał smutnym dlatego, że listopad kładł swe piętno ponure i żałobne na cały świat.

Zapłaciwszy hojnie chłopowi, który go przywiózł i przekonawszy się, że drzwi główne domu były szczelnie zamknięte, puścił się wzdłuż murów, szukając jakich drzwi pobocznych. Wielki kudłaty kundys, wyskoczył wtedy z poza jakiegoś rogu i szczekając głośno, dał mieszkańcom dworu znać, że ktoś się nieznajomy zjawił. Po chwili pokazała się młoda kuchenna dziewka, która się wypatrzyła na nowego dziedzica ogłupiałym wzrokiem.

Jaś się spytał:

— Czy jest pan Czeczot w domu?

— Jest.

— Zaprowadź mnie do niego.

Dziewka zrozumiała, że to ktoś, który ma prawo rozkazywać i zaprowadziła młodego dziedzica przez jakąś sień boczną do dwu bardzo porządnych pokoi, zamieszkałych przez pana Czeczota, nie młodego już człowieka, a starego kawalera, tytułującego się komisarzem dóbr w Czarnej.

(C. d. n.)

się Barbary dla dobra kraju. »A tak — mówi przez tego Boga, który Koronę Polską z owych maluczkich początków uczynił tak wielką, a możną: której wolności, majętności, domy nasze do dzisiejszej godziny, zachował niezgwałcone; który nie rozumem naszym, nie dzielnością, nie sprawą ale łaską a miłosierdziem swojem uchował nas od tego ognia, którym się Francuska, Węgierska, Angielska i inne ziemie palą, prosimy cię Panie!« etc.

Podczas gdy wielkiej części narodu schlebiało przekonanie o nadzwyczajnej opiece boskiej nad Polską, i w nieograniczonej ufności w pomoc niebios zapomniano o smutnych stosunkach Rzeczypospolitej, dawały się także słyszeć skargi na to łudzenie się samowolne, odzywały się głosy przestrogi i napominania, aby budować raczej na własnych siłach, niż poruczać Bogu obronę kraju i z założonemi rękoma zdawać się na jego łaskę.

Szczególnie ostro przebija się ta myśl w satyrach Opalińskiego. Obeznany dokładnie z położeniem kraju i dbały o honor Rzeczypospolitej, uważa on za niegodne, aby naród wielki i potężny, nie ufając sam sobie, zdawał się na łaskę nieba, i jak błazen wystawiał się na najrozmaitsze nieprzyjemności i niebezpieczeństwa w nadziei, że w ostatecznej chwili Bóg go od nieprzyjaciół wybawi. Uważa to za samowolne uwłaczanie godności narodowej, rozumiejąc, że błazen, choćby największego pana był ulubieńcem, pozostaje zawsze tylko błaznem, wzgardzonym, wyśmiewanym i krzywdzonym przy każdej sposobności. Nie przeczy on, że Polska wiele zawdzięczała Bogu i cieszyła się jego nadzwyczajną łaską, ale widząc nierząd, szerzący się coraz więcej i zagrażający wolności, zdaje się przypuszczać — podobnie jak Rej to uczynił — że mogłaby nadejść chwila, kiedyby Bogu sprzykrzyło się czuwać nad narodem i pozostawił go własnym jego siłom. Dlatego też radzi, póki czas jeszcze otrząsnąć się ze swoich przywar, wzmocnić fundamenta Rzeczypospolitej i starać się o to, aby o własnych siłach stawić mogła czoło nieprzyjacielowi, i odzywa się do współobywateli pełen goryczy i żalu:

»Nierządem Polska stoi, nie źle ktoś powiedział;
Lecz drugi odpowiedział, że nierządem zginie.
Pan Bóg nas ma jak błaznów. I to prawdy blisko,
Że między ludźmi Polak, jest Boże igrzysko.
Kiedyby nas wszechmocna boska nie trzymała
Ręka, jużbyśmy dawno rąk nieprzyjacielskich
Nie uszli, a że przydam i ostatniej zguby.
Ten nas trzyma, ten sam nas zakrywa i szczyci.
(Satyry kś. III. 6.)

W liczbie pisarzy naszych, w których utworach odbiła się mniej lub więcej jasno myśl narodowa zajmuje zupełnie odrębne stanowisko mąż, u którego zauważono już oddawna wyraźne ślady mistycyzmu, spokrewnionego z mesyanizmem polskim pierwszej połowy tego stulecia: Wespazyan Kochowski. Dziwna, że odkrycie to nie naprowadziło na domysł, iż myśli wypowiedziane w »Psalmodyi« i innych utworach Kochowskiego nie mogły powstać w głowie samego autora, lecz musiały być własnością całego ówczesnego społeczeństwa, wyrazem tego co myślał lub czuł przynajmniej cały naród, chociażby dla tego tylko, że nie doznały żadnego zaprzeczenia, nie wywołały żadnego zdziwienia nawet, jakiegoby trzeba było się spodziewać, gdyby nie odpowiadały ogólnym zapatrywaniom, były oryginalne i skądinąd nieznane.

Kochowski sam jeden bodaj zdawał sobie sprawę z uczucia. leżącego na dnie serca narodu, sam jeden nad niem się zastanawiał, i dla tego też sam jeden uczynił je myślą przewodnią niektórych swoich utworów. Silną snać była w sercu jego wiara w nadzwyczajną opiekę niebios i potężną myśl, która zdołała wydobyć z lutni jego tony tak dźwięczne i pełne, jak rzadko gdzie tylko w starszej naszej literaturze; a choć nie wszędzie umiał się poeta utrzymać na wysokości prawdziwej poezyi, znajdujemy jednak w »Psalmodyi« ustępy tak silne i pełne, że moglibyśmy je bez wahania położyć obok pokrewnych myślą »Ksiąg Pielgrzymstwa« największego z naszych wieszczów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

—

WOLNE MYŚLI.

Hr. Wojciech Dzieduszycki podniósł w jednym z swych odczytów, iż w społeczeństwie naszem nadmiernie rozpanoszyła się krytyka. Zdanie to mieści w sobie niezawodnie wiele prawdy, ale — niech nam czcigodny autor »Anioła« wybaczy — jest w gruncie paradoksem. Wytworzyło się u nas maniactwo krytyczne, krytyki jednak brak tak samo, jak jej brakowało, dajmy na to, przed pięćdziesięciu laty. Lubimy »wszystko krytykować«; sprawia nam zadowolenie, jeśli można garść błota rzucić w twarz słońcu, jakgdyby ono miało na tem co ucierpieć; cieszymy się, mogąc najlepszym zamiarom i czynom podsuwać prywatę, odstępstwo od zasad, egoizm — ale czyż w tem polega krytyka? Owszem, nam się zdaje, że owa przywara, nurtująca u nas z całą siłą pierwotnych instynktów, ma źródło swe w bezkrytyczności.

Wprowadźmy krytykę opartą na zasadach rozumu, prawdy i słuszności, a wówczas nauczymy się nietylko wady i występki piętnować, lecz także oceniać należycie każdy objaw dodatni, każdą zasługę, każdy pożyteczny dorobek.

Myśl nie jest powołaną do roli bociana, oczyszczającego staw z żabiej inwazyi. Niemniej jednak postanowiliśmy przynajmniej objawy życia umysłowego śledzić z całą uwagą i poddawać je owej krytyce sprawiedliwej a rozumnej, której brak u nas daje się odczuwać tak dotkliwie. Objektywnie, ale z całą surowością wytykać będziemy ujemne objawy, a choć zadanie to przykre i trudne, wytrwamy w niem przekonani, że jestto obowiązek publicystyczny, że piętnując zdrożności i śmieszności, przyczynimy się wedle najlepszych sił do utorowania drogi temu, co czyste, piękne, zdrowe.

* * *

Wątpliwej bardzo wartości zasada »de mortuis nil nisi bene« stosowaną jest w praktyce życiowej subjektywnie i bezwzględnie.

Tragiczny wypadek zaszły w Krakowie nasuwa nam parę uwag, które z pewnym niesmakiem na tem miejscu rozwinąć musimy.

Młody zapaleniec, fantasta, chłopiec dobry, uczciwy, brudami i kałem powszednim niezatruty, w przystępie szału, obłędu erotycznego strzelił do flirtującej go artystki i położywszy ją trupem, sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

Wypadek w naszych stosunkach rzadki, na zachodzie notowany niemal codziennie w kronice policyjnej.

Szaleniec snać nie pojmował życia bez ukochanej przez siebie kobiety.

W napadzie goraczki patologicznej wyrozumował śmierć obojga:

»Nie chcesz być moją — dobrze, ale nie będziesz niczyją«. W pozostawionym liście prosił o wspólny grób, o zagranie na pogrzebie marsza Chopin'owskiego.

Tyle faktu. Jakże go oświetliła nasza prasa? Każdy przyzna, że bezlitośnie, nieetycznie. Pozwolono rzucić zwłoki nieszczęśliwego obłąkańca we wspólne . . . ale z ostatnimi wyrzutkami społeczeństwa grobowisko, napiętnowano go mianem zbrodniarza, a drugiej ofierze wyprawiono dwa pogrzeby, nakadzono jej w sposób — powiedzmy szczerze — śmieszny i brzydki.

Kto posiadał talent sceniczny, kto rozumiał i stosował sztukę zdobywania sobie laurów — ten jeszcze tem samem nie zasłużył po śmierci na cześć powszechną, na apologię bezwzględną.

Podobnie, człowiek o szlachetnych pobudkach, nieskażony, choć mniej utalentowany, jeśli go do czynu szalonego popchnie nie cel poziomy, lecz obłęd, chorobliwy napad — nie powinien być jeszcze autokratycznie potępiony, zwłaszcza wtedy, gdy z własnej woli pozbawia się prawa obrony i usprawiedliwienia.

Należało się nad tem głębiej i uważniej zastanowić, zanim padły wyroki absolutne.

* * *

Na innem miejscu omówiliśmy w swoim czasie, doniosłe znaczenie tegorocznej Powszechnej Wystawy krajowej, dla spotęgowania naszej ekonomicznej i społecznej żywotności przed Europą, dla zobrazowania przed oczami świata owoców naszej kultury, nauki i sztuki.

Zajęcie się wielką ekspozycyą polską, jest duże, choć stanowczo nie tak wielkie, jakiegobyśmy się mogli i mieli prawo spodziewać.

Dyrekcya Wystawy, reprezentowana przez człowieka tak dzielnego, takiej niezmordowanej pracy, energii i wytrwałości, jakim jest p. dr. Zdzisław Marchwicki, czyni przy pomocy sprężystych i pełnych zapału sekretarzy pp. Starkla i Zielińskiego, stanowczo więcej dla sprawy wystawowej, większe na jej ołtarzu składa dowody poświęcenia i zapobiegliwości, niż np. dyrekcya czeskiej Wystawy z r. 1891.

W Pradze pracowano społem, zapalnie; wspaniałe gmachy rosły, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej całego narodu.

U nas pod tym względem nieco inaczej. Dyrekcya nietylko organizuje, tworzy, wydaje instrukcye, ale nadto zniewoloną jest do zachęty urzędowej, do przypominania niejako, czem będzie Wystawa szerszemu ogółowi, który jest tak apatyczny i bezmyślny, że nie chce sobie nawet zadać trudu oderwania się od codziennych, powszednich interesów i przejęcia się całą duszą sprawą tak ogólnej, doniosłej natury.

Nasze dziennikarstwo mogłoby się również poważniej zająć Wystawą i nie ograniczać się na suchych informacyach biura prasowego, które, dzięki staraniom dyrekcyi, istnieje po to, aby sprawozdawcy dziennikarscy mieli zadanie ułatwione, informacye pewne i ścisłe, ale nie w tym celu, by reprezentowało generalnego referenta wszystkich pism.

Prawda, że na plac wystawy trochę daleko, a na ul. Jagiellońską bliżej, wobec faktu jednak, że przecież coś zrobić dla Wystawy i jej publicystycznego uzmysłowienia warto, mogłyby nasze redakcye częściej wysyłać swoich pełnomocników na miejsce niedalekich naszych tryumfów.

Sporo wolnych myśli nasuwa się nam jeszcze pod pióro, odkładamy je jednak dla braku miejsca do przyszłych numerów, dzieląc się na zakończenie z naszymi czytelnikami wiadomością, iż referat działu sztuki na Wystawie krajowej objął w naszem piśmie docent estetyki i historyi filozofii na Wszechnicy lwowskiej: Wojciech hr. Dzieduszycki.

* * *

— Proszę ciebie, co sądzisz o moich poezyach? spytał mnie wczoraj jeden z tych wielkiej odwagi autorów, którzy nie wahają się używać do wyrażenia swych myśli formy wierszowanej.

— Co ja sądzę? odparłem. Zabawnyś! Cóż to? Tak gwałtowna zebrała cię ochota słuchania komplimentów? Wszak nosisz nazwisko »zaszczytnie znane«, a wszystko, co wyjdzie z pod twego pióra celuje co najmniej »wybitnym talentem«.

— Doprawdy?

— Mój kochany, czy ty kpisz, czy o drogę pytasz?

Na to poeta pomuskał się po długich kędziorach i westchnął głęboko.

— Gdzie mnie tam kpiny w głowie! zapewniał. Ale widzisz; człowiekiem jestem i *nihil humanum a me esse puto*. Pochwyciła mnie ta nieszczęsna żyłka poetycka, oddałem się jej więc całkowicie. O tem, żeby mi była dojną krową, niema mowy, ani tego nie żądałem od niej. Ależ, do licha, kto tyle poświęcił pracy mózgu i nerwów, jeśli już niczego więcej, swemu zawodowi — kto przytem, jak łaskawie stwierdziłeś, nie dał się zepchnąć gdzieś pomiędzy ciurów — radby czasem usłyszeć skromne jakie słówko uznania, zachęty; radby mieć czarno na białem dowód, że ludzie nie puszczają słów jego mimo uszu, że na coś ta praca zdała się przecie. Ot, niedawno — dostałeś przecie egzemplarz — i co myślisz — czy pies przynajmniej szczeknął?

— Waryat, waryat z mokrą głową! zawołałem. Czego jemu się zachciewa! A świeciłeś po redakcyach oczyma? Prawda, że nie? A masz głos decydujący, w której z instytucyi finansowych? Prawda, że nie? Czy zobowiązałeś sobie bodaj innemi przysługami tych, którzy o tobie pisaćby mogli? Także nie! I ty chcesz, aby w pismach poddano roztrząśnięciu twe utwory? Publiczność poezye przeczyta — nie bój się — ale że ty nie przeczytasz nigdzie godnej ich oceny, za to głowę daję.

— Ale jednak bywają recenzye i w naszych pismach, ani protekcyą nie zdobyte, ani też zobowiązaniami nie wymuszone.

— A tak, bywają! Ale w tym celu trzeba inaczej zawinąć się około interesu. Wydawaj kilkunastu kartkowe broszurki, naszpikowane idyotyzmami, a la Przodka, czy jak się tam nazywa ów facet, a cel osiągniesz. Znajdzie się z pewnością ktoś, kto machnie ci o tych nonsensach sprawozdanie na 500 wierszy. Recenzya nie będzie wprawdzie mądra; od zgrzytów wymuszonego dowcipu wyginie połowa mysiego rodu, a brzemię pseudo-humoru p. recenzenta gotowo cię zmiażdżyć na bezkształtną masę swym ciężarem — ale otrzymasz, czego pragniesz: recenzyę obszerniejszą, niżby się należała samemu Asnykowi!

* * *

Powiadają i to nie bez racyi, że społeczeństwo nasze traci coraz bardziej zaufanie do prasy, że się ta niby potęga mocarstwowa w oczach publiczności poniża, dyskredytuje.

Jeśli to prawda, to cały ciężar winy spada na samą prasę.

Zagranicą dziennikarstwo przeobraziło się w geszefciarstwo niskiego rodzaju, ssące z każdej afery politycznej lub gryndersko-giełdziarskiej, tuczące się wstrętnie i bezwstydnie. Tam istnieją *prix fixe* na fejletony, wzmianki, dłuższe lub krótsze oceny. Za wszystko trzeba gotówką płacić.

U nas, dzięki Bogu, zgnilizna ta nie wsiąkła dotychczas w organizm prasy. Pojmujemy wogóle jako tako zadanie i cele dziennikarstwa, dążymy w zasadzie do jednej mety, jeno gryziemy się jak brytany po drodze, na otwartym trakcie, przed forum czytelników.

Czy tak być powinno? Czy naczelnicy — redaktorowie pism nie mogliby załatwiać swoich osobistych animozyj i sporów *intra muros*, bez udziału publicznego i nie na benefis falangi komentatorów?

Czy nie możnaby utworzyć jakiegoś trybunału dziennikarskiego, któryby dyskrecyonalnie rozpatrywał sprawy natury czysto prywatnej? Wówczas dzienniki nie kruszyłyby kopij w obronie swoich szefów, lecz w obronie interesów ważniejsych, kraj cały obchodzących.

Uwagi powyższe są — zdaniem naszem — w tej chwili bardzo na czasie.

IZYDOR KUNCEWICZ.

W LESIE.

(NOWELA).

Ona wahająca się, lękliwa, on, poruszony gwałtownie, drżący od namiętności, weszli pod zielone sklepienie.

Byłato ich pierwsza schadzka we dwójkę, zdala od ludzi. Dotychczas, chociaż stosunek ich trwał już kilka miesięcy i chociaż on nalegał i błagał, ona, opierała się; wynajdywała przeszkody, zwlekała, jakby czując, że broni ostatniej reduty, oblężonej przez nieprzyjaciela fortecy. Wreszcie gorące zaklęcia osłabiły jej opór, przysięgi i zapewnienia dozgonnej wierności zażegnały trwogę; poddała się na łaskę i niełaskę.

Serce ośmnastoletniej dziewczyny, gdy kocha, wierzy wszakże tak chętnie w szczerą i wieczną miłość!..

Wyniosłe dęby i buki, roztoczyły nad ich głowami swoje konary, jakby ramiona opiekuńcze, a z głębi lasu wybiegł na spotkanie lekki wietrzyk i owionął im rozpalone od słońca i wzruszenia policzki chłodem orzeźwiającym... Kosy, ziemby i wilgi ozwały się głośniej, witając przybyszów.

Szli, trzymając się za ręce, przyczem dłoń jego drgała nerwowo, a jej oczy, unikając jego spojrzenia, w dół były spuszczone.

Miękka murawa, po której stąpali, pstrzyła się różnemi barwy od kwiecia. Liliowe storczyki, czerwone ogniki, blado-żółte lwie pyszczki, białe stokrótki i dzwonki fioletowe, rozsiadły się gęstą ławą na skraju lasu, a pomięszane ze sobą, tworzyły jakby deseń fantastyczny na tle zielonem.

Wśród nich stąpała dziewczyna ostrożnie, obawiając się zgnieść lekką stopą kwiecisty kobierzec; mężczyzna natomiast, deptał go bez miłosierdzia i uwagi.

Cóż mogły znaczyć dla niego wszystkie inne kwiaty na ziemi, gdy czuł, że ów najcudniejszy, jest jego własnością i kielich swój świeży ku niemu pochyla!..

Las stawał się coraz gęściejszy. Podszywały go szeroko rozrosłe krzaki leszczyny i dzikich bzów, między którymi, kępami wystrzelała pierzasta paproć, a gdzieniegdzie, koło pni zrębanych drzew, czerwieniły się niby krwawe płatki, trujące muchomory.

Dwa równo u góry ścięte pnie, sterczały tuż obok siebie z ziemi i tworzyły jak gdyby dwa niskie stołeczki, umyślnie dla wygody przechodniów w lesie zostawione.

— Patrz! to jakby dla nas! — rzekła dziewczyna — wszakże usiądziemy tutaj?...

— Nie, nie! — odparł mężczyzna żywo — Te pnie stoją tak daleko jeden od drugiego... nie mógłbym cię nawet uściskać!..

— Ależ one są tuż obok siebie...

— Jakaś ty niedobra! Dla mnie są one daleko!.. Ja chciałbym być tak blizko przy tobie... tak zawsze blizko!..

Objął ramieniem jej kibić i schyliwszy się, przytulił twarz do jej szyi.

Poszli dalej. Gałęzie leszczyny zagradzały im jednak coraz bardziej drogę, gąszcz stawała się coraz większa. Przez zwartą masę zieleni u góry, przedzierały się tylko blade promyki i choć daleko było jeszcze do wieczora, prawie mrok panował u dołu. W tym mroku, nie rosły już nawet kwiaty: zaledwie mchy gdzieniegdzie... Ziemię pokrywała warstwa zżółkłych liści zeszłorocznych i zeschłych gałązek, które łamiąc się, chrupały pod stopami kochanków.

Miejscami, przejście zdawało się niemożliwe.

Wówczas mężczyzna całą siłą rozchylał gałęzie, i znowu szli naprzód, w milczeniu, w tajemniczym mroku leśnym pogrążeni...

Naraz z pomiędzy gwałtownie rozchylonych gałęzi, buchnął potężny słup słonecznego światła, a wraz za tem, oboje wydostali się na niewielką polankę, skąpaną w blaskach, z trzech stron otoczoną borem, z czwartej zaś wybiegającą wydłużoną gardzielą ku obłokom i polom rozległym.

Na tej polance drzemało okrągłe jeziorko. Po brzegach zarastały je gęsto dziewanna i sitowie; za sitowiem rósł jeszcze żółty jaskier, lecz i on nie docierał daleko — i pośrodku, świeciło jeziorko gładką i czystą powierzchnią, na którą, tylko las naokół polanki stojący, nierówne i chybotliwe kładł cienie.

Dziewczyna stanęła na skraju gęstwiny w niemym zachwycie.

— Ach, jak tu ładnie! jak jasno!... Nie idźmy już dalej, mnie lęk czegoś zbiera tam, w tym mroku...

Mężczyzna zaśmiał się z przymusem.

— Lęk?... czego lęk?... przecież mnie się nie boisz?...

Potrzęsła przecząco główką, lecz nic nie odpowiedziała.

Idąc krajem lasu, zwolna okrążali jeziorko. Gdy już znaleźli się po stronie przeciwnej, przed nową ścianą zieleni, dziewczyna rzekła raz jeszcze:

— Zostańmy tutaj...

Było tyle nieśmiałej prośby, a zarazem taka uległość w jej głosie, że mężczyzna przystanął, widocznie zawahał się na chwilę.

Ale równocześnie, od strony obłogów i pól dobiegły nawoływania ludzkie i klekotanie dzwonków jakie zwykle na szyjach krów zawieszają. Znać nieopodal pasła się liczna trzoda bydła.

Wahanie się mężczyzny zniknęło natychmiast bez śladu.

— Nie, nie, tu nie możemy zostać! Tu mógłby którykolwiek z pastuchów podpatrzeć każdy nasz

uśmiech, podsłuchać każde nasze słowo... Pójdźmy dalej. Tam w głębi boru znam jedno miejsce, zaciszne i urocze... Ze skalistej krynicy z szumem spada woda po głazach... ot posłuchaj! chociaż to nie blisko — słychać aż tutaj... Naokół stoją wysmukłe buki, jakby na straży zacisza, a pod ich sklepieniem, puszyste mchy zalegają ziemię i proszą aby spocząć...

— Ach, mój najdroższy!—szepnęła dziewczyna.— Ty wiesz, że ja ci już niczego odmówić nie zdołam... lecz pomyśl, że ja mam starą matkę, którą także kocham, a która umarłaby chyba, gdyby się o tej naszej schadzce dowiedziała!

— A ja, nie mam na świecie nic, oprócz twojej miłości i ciebie! — odparł mężczyzna. — Chodźmy...

Szybkim ruchem ręki rozgarnął gałęziel eszczyny, lecz w tej chwili cofnęli się oboje, a dziewczyna zakrzyknęła zcicha.

Rudawa wiewiórka spłoszona niebacznie, wyskoczyła niespodzianie z pośrodka zieleni i przemknąwszy po nad głowami kochanków, usiadła wysoko na dębowym konarze. Ztamtąd, czarnemi swemi oczkami patrzała niespokojnie na stojących na dole, jakby chcąc się upewnić, czy nie mają jakich złych względem niej zamiarów.

— Jakże się przestraszyłam! rzekła dziewczyna, drząc jeszcze cała. — A i ta biedna wiewiórka, także przerazić się musiała... Widzisz, jacyśmy niedobrzy, jacy egoiści! Burzymy spokój całej otaczającej nas przyrody, myśląc tylko o sobie...

Mężczyzna niecierpliwie uderzył ręką po gałęziach, aż zerwane listki posypały się na ziemię.

— Cóż mnie obchodzi cała przyroda, wszystkie wiewiórki, wszystkie drzewa, trawy i kwiaty na świecie!... Dla mnie, cała przyroda zamknęła się w tobie i ty jedna jesteś całym moim światem!... Pójdźmy, pójdźmy!

Znikli w gęstwinie i pustka zaległa polankę; tylko wiewiórka, zatrwożona jeszcze, wspinać się zaczęła żywo na szczyt dębu. Tam zatrzymała się, a zasłoniwszy się od strony polanki i słońca szerokim swoim ogonem jakby wachlarzem, zwróciła główkę w stronę lasu, podniosła łapki do pyszka i śledzić poczęła czy jej prześladowcy oddalili się dostatecznie i czy nie wrócą za chwilę, aby ją znowu niepokoić.

Ale dokoła panowała cisza. Lekki zaledwie wietrzyk, poruszał konarami drzew i przynosił ze sobą słabe odgłosy dzwonków z pastwiska i niewyraźny szmer potoku, spadającego po głazach gdzieś daleko, w głębi boru... Ta cisza uspokoiła wiewiórkę. Zeskoczyła niżej i widocznie niegłodna, wyszukawszy sobie wygodnego miejsca przy zbiegu trzech konarów, zwinęła się w kłębek i usnęła.

Słońce zniżyło się już znacznie i woda jeziorka zabarwiła się odblaskiem różowym. Dziewanny wyprostowały teraz swobodniej zmęczone dziennym skwarem łodygi, a z cieni leśnego podłoża, wylęgły całe roje komarów i rozpoczęły fantastyczny korowód ponad polanką.

Naraz — w oddali gdzieś, zerwał się wiatr gwałtowny, ze szumem rozchylając korony drzew, przeleciał ponad borem i jak huragan wpadł na polankę. Zmarszczyła się woda jeziorka, zakołysały dziewanny, a sitowie z ogromnym szelestem przypadło ku wodzie.

I znowu nastała cisza . . .

Lecz być może iż wiatr przyniósł jakieś straszne wieści z głębi boru, lub też w samej owej ciszy, zapadłej tak nagle po burzy, było coś strasznego, gdyż po chwili, całą polankę, cały las naokół, przebiegło jakby jedno wielkie drzenie. Gałęzie pochyliły się tajemniczo jedne ku drugim, kwiaty i trawy przytuliły się blisko do siebie i wszystko zdało się szeptać, opowiadać sobie o czemś niepojętem a groźnem . . .

Nawet wiewiórka ocknęła się ze swej drzemki i wyskoczywszy na wyższą gałęź, słuchać poczęła w stronę boru, niespokojna i zatrwożona.

Lecz oprócz szmeru potoku, żaden głos już niedobiegał ztamtąd . . .

Tymczasem zapadał wieczór.

. . . .

. . . .

Na samym skraju lasu, zatrzymali się raz jeszcze.

Przed nimi leżało puste błonie, za którem powodzią świateł błyszczało miasto, olbrzymie, przykryte z góry tumanem mgły, huczące jak morze w oddali...

Za nimi, stał las wpółsenny cichy i tajemniczy, skąpany w blaskach księżyca. Pierzasta paproć, murawa, niskie krzewy i kwiaty, obsypane kroplami rosy, migotały od tych blasków tysiącem pereł i brylantów...

Mimowoli odwrócili się oboje, ona blada i smutna, on dziwnie posępny i patrzyli na ten las, jakby im trudno było pożegnać go.

— Chodźmy! — rzekła wreszcie dziewczyna, lecz postąpiwszy krok naprzód, obejrzała się znowu i westchnęła, a w oczach jej zabłysły również dwa brylanty, dwie łzy, które zwolna spłynęły po policzkach.

Na ten widok mężczyzna uchwycił ją w pół i przycisnął do siebie.

— O nie płacz już, ty moja, nie płacz!.. — począł szeptać błagalnie. — Mnie i tak żal dusi . . . Ja wiem że postąpiłem niegodnie, że nie powinienem był tego uczynić . . . jestem podły! . . lecz ty nie płacz, gdyż co się stało, stało się tylko z miłości . . . tylko w szale miłosnym i w zapomnieniu . . . Wierz mi, że gdyby można, to dałbym połowę życia ażeby złe naprawić! . .

— Chodźmy — powtórzyła dziewczyna łagodnie i uśmiechnęła się przez łzy, jak się uśmiecha kobieta, która kocha i przebacza.

Przytuleni do siebie postąpili kilka kroków po usianej kwiatami murawie.

— Ach mój drogi, — zawołała nagle dziewczyna.— Jakiś ty nieuważny! . . Biedne kwiaty! . . popatrz, zdeptałeś cały krzak dzikiej róży! . .

Pochylił się natychmiast i drżącymi palcami usiłował podnieść i wyprostować zduszony krzaczek . . .

— Biedne, biedne różyczki! . .

. . . . Jest charakterystycznem znamieniem mężczyzny, że ubolewa on nad kwiatami, które poprzednio własną zdeptał nogą . . .

JAN STYKA.

TECHNIKA W MALARSTWIE.

Źle namalowany obraz, choćby idealnej treści, jest zawsze gorszy od dobrze namalowanego studjum wprost z natury; jednakże najdoskonalej namalowana, dajmy na to flaszka lub kawał błota nie mogą nigdy zadowolnić tych wyższych pragnień, jakie w sztuce pięknej zaspokoić chcemy; czują to wszyscy ludzie, obdarzeni silniejszą indywidualnością i wyższą inteligencyą, a przedewszystkiem czują talenta wyższe. One to dążą wyżej, tworzą a nie odtwarzają.

Tylko ten artysta zadawalnia się pierwszym lepszym kawałkiem dobrze odmalowanej natury, który cierpi na brak polotu, który nie ma światu nic do po-

wiedzenia — i ten dobrze czyni, bo w tym zakresie może jeszcze dać rzeczy dojrzałe, w wyższym zaś byłby udanym lub płytkim.

Z słów tych bynajmniej wnioskować nie można, że potępiam naturalizm, przeciwnie, ja twierdzę, że rzeczy najwyższe, cielesnemu oku niewidome, tak trzeba malować, by się one stały naturalnemi, by widz uwierzył w ich rzeczywistość.

Jeżeli jednak nam w muzyce nie wystarcza choćby jak najlepiej zagrana gama lub ćwiczenie, ale wymagamy sonaty, koncertu, lub opery, to dla czegóż mielibyśmy się w malarstwie zadowolnić dobrze wykonanem studjum, które jedynie jako dokładność obserwacyi malarskiej może zyskać uznanie nasze. Nie wpadajmy w namiętny zachwyt i uwielbienie, bo te się dopiero ducha płodom należą.

Idealnym nie można żadną miarą nazwać obrazu, który nie czyni zadość wymaganiom plastycznym i dla tego artysta, który wzniosły temat przedstawić zamierza, musi mieć odpowiednią siłę talentu i technikę, odpowiadającą w zupełności podjętemu zadaniu. A technika — twierdzę — odpowiada zawsze wewnętrznemu nastrojowi twórcy, gdyż jest bezpośrednim wypływem jego duszy i każdy mistrz rozwija ją odpowiednio do swych potrzeb duchowych. Stąd tak wielka różnica między techniką Rafaela a Rubensa, Leonarda a Franz Halsa, Matejki a Makarta.

Wyobraźmy sobie na chwilę Fra Anglica chcącego malować techniką Rubensa, albo odwrotnie.

Absolutne niepodobieństwo! Bo technika odzwierciedla w sobie charakter i temperament artysty zupełnie tak, jak styl w literaturze lub muzyce. Techniką nie nazywamy w sztuce tego prymitywnego sposobu naśladowania przedmiotów tak jak stylem nie nazywamy zadań na ławce szkolnej pisanych, ale dopiero sposób indywidualny wykonania, będący wypływem odrębnego pojmowania widzianych przedmiotów nazywamy techniką w sztuce plastycznej, a jest ona tak różną, jak różna jest dusza każdego samodzielnie myślącego człowieka.

Tej techniki nie można się nauczyć, jak się mylnie niejednemu zdawać może, tę technikę zdobywa się samemu, wyprowadzając na zewnątrz swoje wewnętrzne ja. Artysta więc, który rzecz wzniosłą wyraża, a nie obraża naszego uczucia, posiada odpowiednią technikę i wszyscy mu ją przyznać winni, choćby ona zupełnie różną była od wszelkiej techniki, jaka na świecie istnieje; każdy świeży talent przynosi nową technikę na widownię, a nawet twierdzę, że jeden i tensam artysta o tyle ją zmieniać musi, o ile w innym nastroju ducha się znajduje, o ile zupełnie różny podejmuje temat.

Nie godzę się zatem z p. Witkiewiczem który pisze: «Techniką jest w malarstwie malowanie farbami gęstemi lub też laserowanie; techniką jest malowanie od razu — a la prima, lub przemalowywanie». Wedle mojego widzenia, techniką jest indywidualny sposób wyrażania rzeczy, bądź w naturze widzianych, bądź w duchu poczętych, który jest wewnętrznym wypływem duszy artysty i każdym razem wewnętrznemu jego nastrojowi odpowiada.





ZE ŚWIATA TONÓW.

Towarzystwo muzyczne przygotowuje na jeden z koncertów swoich najnowszy utwór Rubinsteina »Mojżesz« na sola, chóry i orkiestrę. Oprócz tego dzieła, na programie tegoczesnych koncertów Towarzystwa znajdują się interesujące, a nieznane u nas kompozycye Müncheimera, Pankiewicza i Słomkowskiego; Leoncevalla (chór z »Medici«) i Verdi'ego (fuga wokalna z »Falstaffa«).

* * *

Lutnia przygotowuje Mszę solenną Rossini'ego przeznaczoną na koncert najbliższy.

* * *

Frieda Scotta duńska wiolinistka, zdobywająca nieustannie laury w Niemczech, zwłaszcza w Berlinie i Wiedniu, przybyła do Lwowa i dała się słyszeć w koncercie dnia 9 b. m. Znakomita wirtuozka zaliczona przez największe powagi krytyki do rzędu pierwszych gwiazd artystycznych nietylko zachwyca prześliczną grą, ale młodością i olśniewającą urodą.

* * *

Kwartet czeski zajmujący obecnie najpierwsze miejsce wśród wykonawców muzyki komnatowej daje we Lwowie jedyny koncert dnia 19. lutego. Okryty sławą ostatnich wiedeńskich koncertów, spotka się we Lwowie niechybnie z wielkiem powodzeniem; rodzaj to bowiem muzyki niezbyt uprawiany u nas, więc i zajęcie tem żywsze obudza, zwłaszcza, że czterech równie znakomitych kwarcistów od czasu słynnego florentyskiego kwartetu nie posiadał świat artystyczny.

* * *

Ruch wydawniczy muzyczny we Lwowie, dzięki zapobiegliwości młodej, a energicznej firmy Jakubowskiego & Zadurowicza wzrasta ciągle. Tak niedawno pojawiły się utwory Galla, Niewiadomskiego, Sołtysa i Wszelaczyńskiego, a już lada dzień ukażą się nowe nakłady. Wśród nowości tych ukazać się mają: Żeleńskiego Polonez, Noskowskiego »Wiośnianki« (Walc, Krakowiak, Mazur i Polonez), Niewiadomskiego nowe pieśni do słów Konopnickiej: »Swaty«, »Dumka« i »Ułan«, oraz Ludwika Dietza pieśń »Sen«.

Z dawniejszych wydawnictw szczególnem powodzeniem cieszą się wśród spiewaków i spiewaczek: pieśń Galla »Gdybym był młodszy« i Wszelaczyńskiego »Ty i ja«; wśród młodziutkich pianistek »Gawot« Sołtysa, a wśród biegłejszych w technice »Walc« Niewiadomskiego. Nowym nakładom wróżyć tedy można równe powodzenie, widocznie bowiem młoda firma szczęśliwą ma rękę.

* * *

Muzyka kościelna. W czasie nabożeństwa na otwarcie Sejmu, wykonało Towarzystwo muzczne Mszę, kompozycyi Ad. Müncheimera, dyrektora opery warszawskiej. Jestto dzieło trzymane w stylu poważnym, ale nadzwyczaj melodyjne i przemawiające do duszy słuchacza. Wykonane wybornie przez chóry Towarzystwa, wywarło wrażenie nader podniosłe.

(n) Z Opery. Tegoroczny sezon szczęśliwszym jest od innych pod względem primadonny i tenora, gdyż dyrekcya zaangażowawszy poprzednio p. Myszugę, miała szczęście natrafić na wyborną śpiewaczkę p. Elwirę Colonnese. Otóż znakomita ta para śpiewaków dźwiga na swych barkach operę całą, bo zresztą wszystkie

inne siły jakkolwiek wiele na przyszłość obiecują, są jednak początkujące i niezawsze mogą podołać zadaniu, mimo widocznych zresztą jak najlepszych chęci. Do rzędu tych najmłodszych sił należy zarówno pełna zdolności p. Strassern jak i pp. Górski i Kowalski. Ansambl ten, przy pomocy zawsze użytecznej pani Skalskiej i Kasprowiczowej oraz p. Zegarkowskiego, wykonał dotychczas następujące opery: Favoritę, Fausta, Trubadura, Traviatę, Bal maśkowy i Aidę, Carmen, Hugenotów, Cavalerię i Pajaców. Opera nasza i w tym składzie personalu mogłaby pod względem artystycznym stać na pewnej wyżynie, gdyby nie chóry i orkiestra, pozostawiające wiele do życzenia. Po usunięciu tych niedostatków i po sprowadzeniu nowości jakiejś (podobno ma nią być «Manon Lescaut« Pucinniego), opera zasłuży na poważne traktowanie i na żywsze słowa pochwały.

TEATR.

Piszący te słowa miał już kiedyś sposobność wyraźnie i niedwuznacznie zaznaczyć, że w krytykach utworów dramatycznych i ocenianiu gry artystów, nigdy nie powoduje się osobistemi sympatyami, ani niechęciami.

Zagnieżdżony, niestety, a bardzo dla instytucyi narodowej sceny — szkodliwy system omawiania kwestyj teatru dotyczących, ze stanowiska subjektywnego, z punktu widzenia małostkowych ambicyj, na zasadzie chwilowej gotowości popierania dyrekcyi, lub kiedyindziej dokuczenia tejże — jest poprostu, zdaniem naszem, nieetyczny.

Jeśli pp. Schmidt i Szydłowski wystawią rzeczy dobre, w odpowiedniej obsadzie — to mogą się zawsze z naszej strony spodziewać gorącego poparcia i uznania, jeśli zaś dadzą pierwszeństwo sztukom miernej wartości lub zaniedbają się pod względem wystawy — znajdą w nas surowych krytyków.

Nawał materyału, jaki przeznaczyliśmy do obecnego numeru »Myśli« skłania nas, mimo woli i chęci, do zredukowania rozmiarów recenzyi teatralnej, co sobie innym razem odpowiednio skompensujemy. —

Energicznej i umiejętnej reżyseryi p. Romana Żelazowskiego, zawdzięczamy wystawienie w ostatnich tygodniach »Uroczych oczu«, komedyi Z. Sarneckiego.

Utwór ten, z racyi współczesnego, że tak powiem, zabarwienia literackiego, wywołał, mimo treści wcale nie dzisiejszej, dużo sądów sprzecznych, zdań podzielonych.

Podług mnie »Urocze oczy«, posiadają dużą bardzo wartość literacką. Nie znający współczesnych prądów literackich zachodu (a takich niestety jest u nas moc wielka) pomieszali dekandentyzm z symbolizmem, skandynawizm z dzisiejszym realizmem niemieckim, hypotezy suggestyi i hypnotyzmu z naukową stroną tych dociekań i wszystkie te izmy zwalili na niewinnego autora »Dworaków niedoli«.

»Aha! — wołał jeden z moich sąsiadów — to w stylu sudermanowskim, już teraz rozumiem!«

Drugi znowu przysięgał mi, że Sarnecki jest ibsenistą, trzeci wreszcie (może najmądrzejszy) twierdził, że p. S. przejął się Maeterlinckiem, któremu wrota swego »Świata« na oścież otworzył.

Pozwolimy sobie zauważyć, że ów aparat symboliczny, rzeczywiście w duchu Maeterlincka, owa historya hypnotyczna: oddziaływanie uroczych oczu ks. Zdzisława na drżącą Terenię — czynią na nas razem wzięte wrażenie takie, że p. Sarnecki: obraz stary, cenny, osnuty na tle dziejowych wypadków, malowany ręką doświadczonego artysty, usiłował wtłoczyć w ramy nieodpowiednie, zbyt nowoczesne, nie harmonizujące z tłem malowidła. Terenię uważam za zwykłą histeryczkę, ks. Zdzisława za tuzinkowego kokieciarza, który, jak powiadają »oczyma pożera kobiety«, a bardzo naturalny pociąg magnetyczny Tereni do Ludwika *et vice versa* jest starem, ale zawsze widocznie, jarem »dwojga serc drzeniem« — miłością; inaczej powiedziawszy komedyę Sarneckiego (bez dodatków symbolicznych), uważam za utwór głęboko pomyślany, za komedyę typów świetnie narysowanych i bardzo konsekwentnie przeprowadzonych (kasztelanowa, szambelan, hrabia, Rejent i w. i.), zbytecznem zaś chyba dodawać, że »Urocze oczy« napisane są językiem wykwintnym i — darujcie wyrażenie techniczne — »zrobione« tak, jak to tylko dobry znawca teatru potrafi.

»Urocze oczy« grane były koncertowo przez panie: Cichocką, Czaplińską, Gostyńską, Siennicką, Siemaszkową, oraz pp. Żelazowskiego, Ruszkowskiego i Chmielińskiego.

Dzięki powrotowi na scenę hr. Skarbka znakomitych Kwiecińskich, rozkoszowaliśmy się w ostatnich czasach: »Weselem Figara«, wiecznie młodemi »Ślubami panieńskiemi«, »Mężem z grzeczności« i już mniej trochę — płytką farsą p. t.: »Ani panna, ani mężatka«. »Sztandar« Depre'go należy do rodzaju »bomb«, kwalifikujących się na niedzielne popołudniowe przedstawienia.

O »Letnikach« Z. Przybylskiego napiszę innym razem obszerniej, ograniczając się dziś na wzmiance, iż jestto raczej krotochwila »letnia«, niż komedya, pełna sytuacyjnych, nie zawsze jednak prawdopodobnych efektów komicznych, bawiąca co prawda publiczność, choć brak jej tej serdeczności i ciepłej swojskości, któremi to zaletami wybitnie odznaczają się utwory autora »Wicka i Wacka«. Do powodzenia scenicznego »Letników« nie mało przyczyniła się doskonała gra ensemblowa pp. Czaplińskiej, German, Gostyńskiej, Kwiecińskiej, oraz pp. Ruszkowskiego i Kwiecińskiego.

J. B.

BIBLIOGRAFIA.

Abgar Sołtan. »Polubowna ugoda«. Powieść. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1894.

Abgar Sołtan należy do tych szczęśliwych autorów, którzy zdołali szturmem — jak to się mówi — zdobyć sobie sympatyę i uznanie publiczności. Dodajmy, że stało to się zasłużenie, wśród młodszej bowiem generacyi powieściopisarzy, niewielu jest równie poważnie traktujących swe zadanie. Przytem Abgar Sołtan wystąpił na widownę literacką uzbrojony zdolnościami niepospolitemi, wzrastającemi równomiernie z liczbą prac jego, już dziś dość pokaźną.

»Polubowna ugoda« celuje zarówno treścią zajmującą, jak i troskliwem opracowaniem. Nazwalibyśmy ją »powieścią szlachecką«, gdyby taki termin nie dawał impulsu do fałszywego o utworze pojęcia. Abgar Sołtan niezawodnie jest konserwatystą, nie znaczy to jednak, jakoby narzucał płaszczyk na wady i grzechy klas uprzywilejowanych, lub nie widział cnót i zalet w warstwach niższych. Owszem nie szczędzi on gorzkich słów prawdy tym, którzy powinni przedewszystkiem w dobrem przodować, jeśli chcą, by ich przodownictwo otaczała sympatya.

Za tło »Polubownej ugody«, służą stosunki na Podolu rosyjskiem, stosunki mało u nas znane, a godne poznania, boć przecież nie wyrzekliśmy się łączności z naszymi braćmi z za kordonu.

Kompozycya jednolita, sposób opowiadania zajmujący i barwny, ścisła, a umiejętna obserwacya, wreszcie fantazya żywa, trafnie grupująca charakterystyczne tylko szczegóły, nadaje »Polubownej ugodzie«, cechy prawdziwie artystycznej pracy. Jeżeli autor obok nabytych już przymiotów,

postara się, o większą przedmiotowość i zapanuje nad widocznym pociągiem do rozwlekłości — będzie to świadczyło, że w rozwoju swego talentu postępuje ciągle naprzód.

KRONIKA.

*** *Pismo nasze zamieszczać będzie stale (możliwie w każdym numerze) wyczerpujące przeglądy z wystaw malarskich, ze szczególnem uwzględnieniem wystawy obrazów lwowskiej Reprezentacyi Tow. sztuk pięknych i krakowskiego salonu.*

Dział krytyczno-artystyczny objął w „Myśli" zaszczytnie znany pisarz p. Jan Zdora.

Wszystkich pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy upraszamy o łaskawe informowanie nas, jakiemi pracami zamierzają obesłać dział sztuki na wystawie krajowej.

*** Teatr krakowski wystawił w tych dniach nową komedyę M. Wołowskiego p. t. »Kropka nad i«. Na tejże scenie debiutowały z dużem powodzeniem panny M. Paszkowska i W. Stępniewska.

*** Krążą pogłoski w sferach artystycznych, że grono kapitalistów z p. Gliksonem b. dyrektorem teatru krakowskiego, na czele, zamierza wkrótce przystąpić do budowy nowego teatrzyku w Krakowie (przy placu Szczepańskim), gdzie grywane być mają operetki i farsy. Czekamy potwierdzenia lub zaprzeczenia tej wiadomości.

*** Teatr Skarbkowski zapowiada na przyszły tydzień dwie interesujące jednoaktówki ś. p. Blizińskiego: »Panna z posagiem« i K. Tetmajera: »Sfinks«.

*** Trupa stanisławowskiego teatru pod dyrekcyą p. Antoniewskiego daje obecnie przedstawienia w Kołomyi.

*** Miriam (Zenon Przesmycki) utalentowany poeta, wygłosi we Lwowie szereg odczytów: »O poezyi belgijskiej«.

*** »Czas« drukuje interesującą powieść J. K. Ehrenberga pod tytułem »Świat fejletonowy«.

*** Kazimierz Zalewski obchodzić będzie w bież. roku 25-letni jubileusz zasłużonej pracy na niwie dramatycznej.

*** Pod tyt. »Zagłoba« wychodzić zaczęło we Lwowie pismo satyryczne tygodniowe pod redakcyą p. J. I. Nikorowicza. Zeszyty jakie się dotychczas ukazały, pozwalają rokować sympatycznemu »Zagłobie« dużo powodzenia, tem snadniej, iż pomimo ciętej satyry, jaką biczuje i smaga wszystko »co niskie i brzydkie« — pochwalić on się może brakiem żółci i tak niesmacznego zabarwiania rzeczy ogólniejszego znaczenia prywatą i osobistemi docinkami. Oby tak dalej!

*** Fr. Rawita (Gawroński) drukuje w »Reformie« powieść na tle roku 1794 pod tytułem »Racławice«.

*** Teatr Rozmaitości w Warszawie wystawił z sukcesem krotochwilę E. Lubowskiego p. t.: »Wycieczka z przeszkodami«, »Mały« zaś farsę Jordana (Wieniawskiego) p. t.: »Myszy bez kota«.

*** Jan Kasprowicz wydał nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza zbiór poezyj p. t.: »Anima lachrymans«. W następnym numerze »Myśli« poświęcimy utworom Kasprowicza, oraz jego przekładom Byrona, obszerniejsze uwagi.

*** Występy tragika Mounet Sully cieszyły się w Wiedniu dużem powodzeniem. Artysta grał przeważnie w sztukach Szekspira i W. Hugo.

*** Na wystawie obrazów w Krakowie zwraca powszechną uwagę szereg pastelowych szkiców p. Stan. Wyspiańskiego (krakowianina), ucznia mistrza Bounata w Paryżu. Młody artysta, hołdując z powodzeniem tak modnemu dziś nad Sekwaną impresyonizmowi, w obrazach swych umiał pogodzić oryginalność z pięknem i stworzył parę rzeczy, które słusznie do najefektowniejszych ozdób wystawy są zaliczane.

*** Nagrody konkursowe za wykonanie obrazu dekoracyjnego na głównym budynku Wystawy przemysłowej (tymponomu) rozstrzygnięte zostały w b. m. Pierwszą nagrodę otrzymał (wraz z wykonaniem obrazu) p. Tad. Popiel; drugą prof. Tadeusz Rybkowski; trzecią prof. Lachner z Krakowa z pomiędzy kilkunastu nadesłanych z rozmaitych stron szkiców.

---

† Dr. Antoni Józef Rolle, znakomity historyk, autor „Opowiadań historycznych", mąż pełen zasługi na polu nauki lekarskiej i historycznej, zmarł w Kamieńcu podolskim.

† Jerzy Aleksandrowicz, były profesor uniwersytetu warszawskiego, przyrodnik, zmarł w Warszawie.

† Dr. Teodor Billroth, znany profesor wszechnicy wiedeńskiej, chirurg wielkiej sławy, zmarł w Abazyi.

† Marcela Ledererowa, znakomita śpiewaczka i nauczycielka śpiewu, wysoko ceniona dla swego artyzmu i zacności charakteru, zmarła we Wiedniu dnia 2 lutego. Była to jedna z najwybitniejszych osobistości, jakie Lwów kiedykolwiek w świecie swoim artystycznym posiadał. Wykształcona w Garcii, posiadała nietylko wspaniały głos ale i znakomitą umiejętność śpiewu, przytem zaś nader poważne i szlachetne traktowanie sztuki. Do końca życia umiała wszystkie te wysokie przymioty utrzymać, poświęcała się też muzyce bez przerwy i z gorącem zamiłowaniem.

† Maksym du Camp, członek Akademii francuskiej, autor słynnej książki: »Paris, ses organes ses fonction et sa vie«, zmarł w Paryżu.

Od Administracyi.

Zwracamy uwagę Szan. Czytelników na niesłychanie niskie, niepraktykowane niemal w naszem czasopiśmiennictwie warunki przedpłaty »Myśli«, znajdujące się w nagłówku pisma.

Obniżając cenę prenumeracyjną prawie do połowy (przy uwzględnieniu zamiany dwutygodnika na tygodnik), czynimy to celem uprzystępnienia »Myśli« najszerszym kołom czytającym.

Liczymy na gorące poparcie nas w przedsięwzięciu stworzenia i utrwalenia organu, któryby, zdala od namiętności stronniczych, dostarczał jedynie wyborowej literackiej, naukowej i artystycznej strawy.

„Myśl" wychodzić będzie w każdą sobotę.

L. 4.964.

OGŁOSZENIE

w sprawie wypowiedzenia obligacyj pożyczek krajowych z roku 1884, 1888 i 1889.

W myśl uchwały Wysokiego Sejmu z dnia 29. września 1892, wypowiada Wydział krajowy Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem obligacye galicyjskich pożyczek krajowych z roku 1884, 1888 i 1889 z dniem 1-go maja 1894 i z dniem tym, w którym także ich oprocentowanie dalsze ustaje, uznaje je za płatne.

Galicyjska Kasa krajowa a względnie Kasa pożyczek krajowych wypłacać będzie od 1-go maja 1894 wszystkie przedłożone jej obligacye tych pożyczek, zaopatrzone w bieżące kupony, w ich nominalnej wartości.

Wydział krajowy zwraca uwagę wszystkich właścicieli winkulowanych obligacyj pożyczek z roku 1884, 1888 i 1889, że we własnym swoim interesie powinni jak najwcześniej postarać się u kompetentnych władz o zezwolenie na dewinkulacyę tak, ażeby obligacye te mogły być z dniem 1-go maja 1894 roku zrealizowane.

We Lwowie dnia 30 stycznia 1894.

Marszałek krajowy:
Eustachy Książe Sanguszko, *w. r.*

Członek Wydziału krajowego:
Tadeusz Romanowicz, *w. r.*

Członek Wydziału krajowego:
Dr. Józef Wereszczyński, *w. r.*

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Stanisław Rossowski.** Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.